

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom I - Obóz Gross-Rosen

**Zeszyt 5 - Wspomnienia z pracy
w komandach wewnętrznych
i inne . . .**

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen**

Warszawa 1987

Zespół Redakcyjny :

Zofia Doboszyńska, Witold Kulisiewicz - kierownik redakcji,
Roman Olszyna, Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman,
-sekretarz redakcji,



247/64

przy współpracy :

Tadeusza Berny - Wrocław, Michała Czebłakowa, Haliny Dudowej,
Romana Gierka - Oborniki, Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego,
- Poznań, Stanisława Korby - Kielce, Jana Kosińskiego i Mieczysława
Kwietnia - Lublin, Stanisławy Kozuchowskiej, Henryka Króla -
Jelenia Góra, Edmunda Nawry - Bydgoszcz, Alojzego Nowickiego-
Inowrocław, Tadeusza Piórkowskiego, Bronisława Rudyka, Władysława
Walczaka - Kalisz, Olgierda Schaefera - prezesa Klubu Gross-Rosen,
Bogdana Wierzejewskiego - prezesa Koła Nr 1 ZBoWiD, Julii
Wroczyńskiej.

Projekt okładki : Włodzimierz Kern

SPIS TRESCI

	str
1. Stanisław Jagielski- Dla Matki Andrzeja	5
2. Leszek Bogdański - Wspomienia pierwszej nocy	12
3. Antoni Janusz - Mój pierwszy list	16
4. Zdzisław Rogoń - Wspomienia z komando Weberei	18
5. Jan Pankiewicz - Fragment wspomień z komando Blaupunkt	21
6. Witold Truszkowski - Ostatni wieczór wigilijny w komando Wetterstelle	30
7. Czesław Skoraczyński - Komando Industriehof	32
8. Walerian Guzenda - Byłem cieślą w komando Zimmerleute .	40
9. Leon Bochenek - Pracowałem w Schreibstube	44
10. Eugeniusz Ciszek - Jak zostałem konserwatorem centrali telefonicznej w Gross-Rosen	49
11. Edmund Nawra - O pracy fryzjerów na blokach	59
12. Jerzy Sandecki - Wspomienia o orkiestrze w Gross-Rosen	64
13. Kazimierz Hałgas - Los jeńców radzieckich w Gross-Rosen	72

Włodzimierz Borkowski

De profundis

Z samego dna ,

jeśli dnem jest to co widzę,

z samego dna

wyciągam chude dłonie

i krzyczę z głębokości studni

zanim skonom

krzyczę . . .

Włodzimierz Borkowski urodził się w 1920 roku w Ostrowsku k. Nowego Targu. Uczeń krakowskich szkół muzycznych, po wojnie ukończył medycynę. Aresztowany w 1940 roku w Krakowie, później Montelupich, Auschwitz, Gross-Rosen, Buchenwald, Flossenbürg.

z książki "Polskie wiersze obozowe i więzienne 1939-45" zebrane przez Konrada Strzelewicza. Wyd. KAW-1983.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.9.5.

DLA MATKI ANDRZEJA I WSZYSTKICH MATEK, SIÓSTR I ŻON
/Fragment z książki Scalvus Saltans wydanej przez
Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa, 1946/

Jednak wróciłem. Jak tylu innych, skazanych na codzienne u-
mieranie, wplątanych w druty, - zdawało się nam - do końca ziem-
skich dni.

"Z tych marzeń i z tych drutów już nic nas nie wypłucze".
Gdzie ja to słyszałem? - Czy był to fragment z tomika Andrzeja
- "Krematoria dymią"? Czy może myśl co po przez każdy dzień -
od apelu do apelu, poprzez wszystkie stracone lata i etapy.
Oświeć, Neuengamme, Gross-Rosen...?

I po co ja to właściwie piszę? Po co uderzam w banalną stru-
nę współczucia czy żalu? Ty pierwszy, Andrzej, zarzuciłbyś mi
brak konsekwencji, - i ty, Zbychu! Nawet wtedy, gdy Ci opadały
gasnące powieki, powtórzyłeś raz jeszcze: "Daj spokój".

I nie tylko Wy, Przyjaciele.

W licznych dysputach przyrzekaliśmy sobie, że "gdyby"...
"kiedyś"... "jeżeli", /jakie te słowa były wtedy nierealne,
a jednak zazdrośnie i wstydliwie pieszczone w ciemnych zakamar-
kach jestestwa/, to nie będziemy opowiadać o koszmarach obozo-
wych. Gdy kiedyś natknęliśmy się ze Zbyszkiem na trzech "muzuł-
manów" ogryzających kości ludzkie,-

"Spróbuj to kiedyś opowiedzieć w domu, - nie uwierzą ci" - wy-
rzucił z siebie, jako jedyny komentarz i wrażenie.

A 24 godziny "żabki", "rollen", "kniebeugen", "hinlegan" -
gdy już nic nie czujesz, wzywałeś tylko śmierci - wybawicielki,
gdy nawet ksiądz Drozd, skręcony pod murem jak brudna, wilgotna
szmata, obłądnie toczył wzrokiem i dyszał ostatnim szeptem: Nie
ma Boga! Nie ma Booo...! Cóż mi wtedy powiedziałeś cyniczny
Häftlingu z Lagerschreibstuby? - "Będziesz miał kiedyś o czym
mówić, bohatera będziesz udawał".

Andrzeju! Już zaczął się Dom.

Tak po prostu. Marzyliśmy zawsze, żeby się zaczął bez obłu-
dy i fałszu, bez sztucznych "och", "hurra" i "czy to możliwe"?
Jesteś wprawdzie jeszcze daleko, ale Matka czeka już na Ciebie
i wie, że żyjesz. Matce nie można wytłumaczyć, że jesteś dobrze
ubrany, syty i szczęśliwy.

Ona to wszystko musi zobaczyć i sprawdzić. Tak. sprawdzić, po-
dobnie, jak to robiła moja Matka: że rzeczywiście masz wszyst-
kie zęby i nie posiadasz blizn po "flegmonach". Ona nie wierzy,
że po wieczornym apelu lub w niedzielę popołudniu mieliśmy na-
sze "prywatne" godziny, że zaszyli w kąt magazynu, wkraczaliś-
my w krainę Piękna, dokąd żaden Blockführer nie miał dostępu.
Tam Leszek uwierzył wreszcie w krasnoludki i tam też...

Uważasz, że można opowiedzieć?

Więc posłuchaj mnie raz jeszcze Matko Andrzeja i Wy, wszy-
stkie Matki, Siostry, Żony!

My nie jesteśmy tylko tłumem Häftlingów, złamanych i straconych dla życia. My nawet "wtedy" nie byliśmy nastawieni wyłącznie na "Achtung" i "Mützen ab". To była codzienna czujność a nierzeczywistość, jak chcą dzisiejsze opisy z życia więźniów w obozach - rzeczywistość i myśl drzemała, ale budziliśmy ją stale do życia, przejawiała się w prywatnych godzinach. Kiedyś nawet....

Był już ostatni grudzień wojenny. Były przeczucia i fakty. "Kurs" się zmienił. Przy każdym nowym policzku i przy każdym "füntundzwanzig" szeptały znienawidzone wargi: ...polnische Widerstandsbewegung", ale oczy zdradzały już strach i przedsmak poniżenia, które im zgotuje polski "bunt".

Kurs się zmieniał. Potworna dyscyplina pozwoliła nawet na tolerowanie przejawów narodowego życia. Na razie w postaci "Kujawiaka" Wieniawskiego, dopuszczonego do programu niedzielnego koncertu orkiestry obozowej.

Ale Herr Rapportführer Eschner, którego imię przekłute było ostatnim tchnieniem tysięcy odkomenderowanych do "Himmelkommando", uśmiechał się łaskawie i nawet bił brawo z rozeźnionym tłumem Polaków, gdy Stach Włodarski oderwał smyczek od strun i drżący z emocji przyciskał skrzypce do piersi.

Takiego sukcesu nie miałeś Stachu z pewnością nawet na największych z Twych koncertów w Filharmonii.

- "Ist doch auch eine reine polnische Musik"? -

- "Jawohl. Herr Rapportführer" - jak wierne i zawsze to samo echo doleciało ze strony Lagerältestera.

Lagerältester Siestdumich nie zwykł był dopuszczać do rozmów "dobrotliwie postronnych". Przy Rapportführerze był zawsze jedynym interlokutorem. Poza tym zarozumiały, dostatecznie głupi i megaloman. To właśnie można było wykorzystać.

Nowa myśl zrodziła się jak błyskawica...

Trzeba mu imputować, że on będzie projektodawcą i protektorem. My jemu, a on dalej.

A jeśli się nie uda, to pioruny Rapportführera rozładują się na wygolonej czaszce niecierpianego "prominenta".

Trafiłem na odpowiednią chwilę:

- "Lagerältester, Sie wissen Bescheid, dass Sie im Stande sind"... -

Pod koniec rozmowy nie potrafiłem już ukryć swego zadowolenia. Ryba chwyciła przynętę.

...W kilka dni potem zawiadomiono oficjalnie na odprawie "blokowych", że wszystkie narodowości mogą obchodzić Boże Narodzenie według własnych tradycji i we własnym języku, zaś pięć najsilniejszych liczebnie narodowości przygotowuje własne występy artystyczne w ramach obchodów świątecznych.

"Blokowi" byli zaskoczeni. Nowa szykana, czy tylko łaskawy żart? - Ale "żart" był wyraźnie zapisany w rozkazie dziennym i nie podlegał dyskusji ..., blokowi są odpowiedzialni za przygotowanie w terminie" brzmiał punkt rozkazu.

Co z tym fantem zrobić??? Blokowi Witek uwolnił się prędko od ciężaru.

- "Słuchaj - zwrócił się do mnie - ty tam coś wykombinujesz. Masz przecież czas do 24-go".

Był już dziesiąty dzień grudnia. Przez myśl przesunęła mi się nawała projektów i galeria pasiastych postaci, z którymi

odtworzaliśmy w zaczarowanych kręgach konspiracyjne szopki i obozowe "biesiady literackie".

Jest nas w Gross-Rosen 60% Polaków. Równanie jest proste. I rozwiązanie również: polskie widowisko musi przejść świetnością wszystkie inne. Wobec takiego założenia, wszystko już zdawało się być proste i łatwo wykonalne.

Jeszcze tego wieczoru zebraliśmy się, jako komitet organizacyjny.

- "Czy jesteś pewien - zapytał Józek Komalski, - że nie jest to prowokacja i chęć wyłapania "aktywistów"? -

- "Pewien nie jestem - odparłem - ale czy to nie wszystko jedno? Wiecie sami - zwróciłem się do wszystkich - jaką cenę ma tu życie ludzkie. Nie ma żadnej. Jesteśmy tylko numerami. Od tych paru lat nauczyliśmy się stąpać po krawędzi, więc co nas może jeszcze odstraszyć? Widzę wśród nas takich, którzy gotowi będą wziąć odpowiedzialność za wszystko. Kto ma zastrzeżenia, może nas opuścić". -

Nikt nie podniósł się z miejsca.

- "A więc zajmijmy się pracą. To, co w obozach nazywa się organizowaniem", musi być spotęgowane do poziomu najwyższej sztuki, a nasza sztuka musi być najwspanialsza. Z Andrzejem Wydzyńskim napiszemy treść widowiska, Romek Niewiarowicz - reżyseria, Zdzich Nowacki ... - Słuchaj chłopie, ty wiesz, czego się wszyscy spodziewają ze strony muzycznej; musisz być kompozytorem, twórcą chóru, dyrygentem orkiestry i inspicjentem wszystkich efektów akustycznych. Leon przychodzi do magazynów dla organizacji kostiumów, Zbyszek w warsztatach krawieckich, Józek przygotowuje salę i scenę, Kiss wymaluje dekoracje, Stefan - elektryczność i efekty świetlne, Janusz - kancelaria, tłumaczenia, papierki itd. itd....

.... 24 grudnia. Świąteczny nastrój, dzień wolny od pracy. Każdy pozszywał jako tako dziury w nędznych szmatach, "promiencji" w świeżo odprasowanych ubraniach i w wytwornej bieliźnie. Częstują papierosami. Palimy "cudzesy". Przed blokiem 17 - tłok. Z głębi słychać strojenie instrumentów. Gruby Stefan wyjaśnia uprzejmie, że sala pomieścić może tylko 1.000 osób, więc widowisko będzie dla reszty powtarzane.

Na sali savoir vivre i uprzejme uśmiechy. W dłoniach szeluszczą "libretta" - naturalnie w języku niemieckim. Głupcy! choćbyście mieli przed oczyma nawet dosłowne tłumaczenie, to i tak nie zrozumiecie tego, na co tu z zapartym oddechem oczekuje ciżba polskich serc.

Kurtyna z malowanych płócien - ss-mańskich prześcieradeł, ozdobiona gałązkami jedliny, zamyka scenę. Przed nią Zdzich panuje już nad 40-osobową orkiestrą.

Gong. Kurtyna do góry. Na widowni światła gasną. Na scenie polska chata, obrazy świętych na ścianach i gwiazdy za oknami. Na tle tylnej ściany zaklęta w bezruchu malownicza grupa w polskich strojach ludowych.

Trzeba mówić kilka nieodzownych słów do obecnych na sali władz. A więc wychodzę na scenę, jak zgrzytliwy dysonans w pasiastym ubraniu, nie zdejmując nawet z rękawa opaski - "Bloc-karzt 6".

Po niemiecku: "Das wir heute unser schoenes Fest hier feiern dürfen, verdanken wir..."

Trzeba zatrzyć przykre wrażenie. Zgaduję zrozumienie w błysku polskich oczu na sali i mówię: Dla was nie trzeba z b ę d n y c h s ł ó w.... jest inwokacja nadziei, narodziny jasności.... - O, Boże rodzin oddalonych! O Boże ramion wyciągniętych! Złącz nasze piersi z piersią braci w ten wieczór wigilijny, święty"

Zygmunt?... Tak, z daleka dochodzi głuchy dźwięk dzwonu. To Zygmunt, strojony w pocie czoła przez Zdzicha, zawieszona szyna, spiłowywana pracowicie, aż nabrała doskonałego, pełnego dostojęstwa tonu.

Dzwon rozkołysał się za kulisami, ale gromada na scenie trwa w bezruchu. Zamarła w hypnotycznym oczekiwaniu. Dzwon targa już niecierpliwie powietrzem, zniecierpliwienie zdaje się udzielać widowni, gdy nagle srebrnym głosem wpadła w dźwięk dzwonu trąbka: Hejnał z wieży Mariackiej. Gromada na scenie odwraca powoli zdumione oczy w stronę, skąd płyną czarodziejskie dźwięki. Głowy i postacie pochylają się zgodnym ruchem, dłonie przyłożone do ucha... Słuchają...

Czy to Złoty Róg???

Zdenerwowany, podniecony wątpliwościami, czy sala zrozumie intencje reżysera, wyglądam na salę przez szparę w kulisach. Nie myliliśmy się. Widac wyraźnie oznaki niechybionego efektu. Błyszczą pierwsze łzy, zęby zaciskają się na wargach. Oczy, które oduczyły się płakać w ciągu tylu lat, wilgotnieją pod nieoczekiwanym wrażeniem, wrażeniem zakazanym, wrażeniem, za które ci, siedzący obok z niemieckimi tłumaczeniami w rękach, otwierali przed nami całą otchłań męczarni.

Więc zaciąć usta! nie dekonspirować! - oto jedyne niewypowiedziane hasło.

A jednocześnie rozpalony wzrok chłonie chciwie przemyconą scenę, jakby wyjętą z "Wesela".

Milkną dźwięki trąbki, grupa na scenie ożywia się. Zakłęci na długi sen, obudzili się do życia. Czas prysnął.

Postacie odzyskują naturalność i toczy się już ożywiona akcja, haftowana na finezyjnej kompozycji muzycznej. Przeważają naturalnie motywy kolędowe. Zdzich przeszedł siebie i wszelkie oczekiwania. Zharmonizowany zespół orkiestrowy wpłata dyskretnie akcenty w poszczególne fragmenty widowiska. Jakby ze starego gobelinu przeniesiono scenę przybycia kolędników z gwiazdą. Mazur roznosi się szeroko, aż ess-owskie buty przytupują o posadzkę widowni, góralskie ciupagi krzeszą skry przy "zbojnickim" a stary Dęboroski zrzucił już maskę wytrawnego wygi-opereciarza i z dostojną powagą gra na scenie rolę gościnnego gospodarza.

Już nikt na sali nie wstydzi się łez, zrodzonych z drogich wspomnień. Wszyscy reagują otwartym uśmiechem, westchnieniem, często szlochem. Piosenki Dzieduszyckiego i Różyckiego wplecione w fabułę widowiska, znajdują żywą reakcję zasłuchanego tłumu Polaków.

Takie nasze ... od dawna niesłyszane

Lecz jak w koncercie Jankiela, jest i tu jakiś fałszywy zgrzyt. Coś szwankuje w świątecznym nastroju aktorów. Często w momentach najweselszych przez czoło poszczególnych postaci prze-wija się mgła smutku.

Wreszcie pada absorbujące wszystkich, a powściągliwie niewypowiedziane dotychczas pytanie:

- "A co sływać z waszym synem, gospodarzu?

Chwila zdetonowania.

- "Nie dane mu jeszcze świętować z nami. Ale list mam z obozu od chłopaka...."

List???... zainteresowały się dziesiątki oczu w serdecznym pochyleniu.

Stary zwolna rozwija i zaczyna czytać list od syna z obozu. Nagle światła gasną.

A potem tylko dyskretna, skradająca się melodia drży w powietrzu. Na scenie, w ledwie dających się odróżnić zarysach, ukazuje się zjawia więźnia z obozu w pasiastej szacie, wyczarowana z kartek listu.

Na tle żalosnej, sugestywnej muzyki, rodzi się melorecytacja więźnia.

"Legenda tamtej Wigilii:

"Jest w jakimś mieście dom czynszowy,
gdzieś na Żurawiej, albo Cichej...
Na pierwszym piętrze, czy na drugim
ktoś tęskni i ktoś płacze z cicha.

Na pierwszym, czy na drugim piętrze
ktoś czeka, drży opłatek w dłoni,
i w puste miejsce, w pusty talerz
najsmutniej patrzy i łzę roni.

Ty sądzisz, że dwa lata tylko?
to dwa stulecia, moja miła,
A może więcej? Może nigdy?
Może to wszystko się przysniło?...

A jednak było! było! było!
Pamiętam dobrze, jakbym widział
Twój pokój, zwykły mały pokój:
na środku stół, po bokach ściany -

Wiesz, że są jednak różne ściany:
białe, w desenie, murowane....
A twoje były całkiem inne:
tęsknotą były malowane.

Obserwuję przez szparę wrażenia słuchaczy. Dobrze się stało, że zjawia we wspomnieniach przywołuje tylko sceny przeżyte z najdroższą dziewczyną. Gdyby w atmosferze legendy Narodzenia pojawiły się wspomnienia rodziny, braci, ojców - tłum emocjonalnie nie przetrzymałby efektu, który i tak na tym podatnym gruncie można było wywoływać najbłahszymi nawet metodami. Zmięte chusteczki i czapki przy ustach, mające powstrzymać wybuch, gdzieś gwałtowny spazm - to wszystko dostatecznie charakteryzowało moment napięcia i emocji.

Zjawia wspomina tymczasem wspólną wigilię i pewien moment:

... gdy usłyszałem w nagłej ciszy
Twoje słowa, że już raz ostatni,
że razem więcej nie będziemy,
że wiesz na pewno, niech nie przeczę.

że trudno, tak już jest na świecie...
I wtedy w bocznym pokoiku,
na skrzypcach ze zwykłego drzewa,
samotny skrzypek najżałośniej
Twój lęk i smutek, Twój wyśpiewał...

W następującym tu momencie pauzy melorecytacyjnej z zespołu instrumentalnego wyłania się solo skrzypcowe - Stach Włodarski.

Już nie łka, ale rzewnie płacze koncertem "Melancolica" Czajkowskiego.

...Dziś już rozumiem Twe obawy,
to drugie Święta tak daleko
a tamte które przeminęły
już tylko bolą pod powieką.

Obrazy z tamtych Świąt ubiegłych
na ekran powiek pamięć rzuca,
jednak do wielu chwil minionych
brak mi - powiedzmy prosto - klucza..."

Więzień opowiada dalej o wspólnie przeżytych wrażeniach.
Serdeczna tęsknota wywołuje wspomnienie powrotu sanną do domu.

"...Na tle latarni śnieżne płatki
tak, jak motyle zmienione drżały,
i w kręgu światła krótko żyły
i jak motyle umierały.

Wstrzymałeś sanie, było lepiej
po śniegu iść powolnym krokiem
aż przystanąłeś - tęskna piosenka
płynęła z paterowych okien".

Jak beztroski wiew, wpada do ucha nucona z daleka przy akompaniamencie akordeonu piosenka:

... moja miłość jest silniejsza niż wojna,
Wróć znów, otrzyj łzy, bądź spokojna..."

Zjawia powraca do swoich wspomnień:

"...I pocóż więcej przypominać
i łez wyschniętych szukać w mroku,
samotny jestem i zmęczony
kolędy płyną zbyt wysoko.

Na małej ziemi mali ludzie
czekają i tęsknoty szepcą.
Nie wiedzą, czy historia znowu
podkutym butem ich nie zdepcze.

Ostatnia strofa w mroku tonie
już wiem, że było, być musiało,
że dziś też masz opłatek w dłoni,
że tak jak w piosence tej się stało.

Wiem - na Żurawiej, albo Cichej
tej nocy, gdzieś na jakimś piętrze
jest puste miejsce, pusty talerz
i smutne, bardzo smutne oczy i małe oszukane serce".

Zjawia znika, światło powoli wyłania grupy na scenie. Widowisko toczy się dalej...

Posłuchajcie mnie raz jeszcze Matko Andrzeja i Wy, wszystkie Matki, Siostry i Żony!

Nie patrzcie na nas jak na ludzi z innej planety, jak na powracających z tamtego świata. Myśmy wrócili, żeby razem już teraz czuć to, co wtedy czuliśmy wszyscy z osobna.

I nie myślcie, że poprzez otchłań zmory wypaliło się w nas wycucie piękna i radość życia. Koszmar, któryśmy widzieli i przeżyli, chcielibyśmy zapomnieć, więc nie żądajcie od nas upiornych opowieści, bo myśmy "tam" stwarzali chwile oderwania od kosmaru i we wspomnieniach raczej do tych chwil powracać będziemy.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.63



Fragment główny Mauzoleum na terenie byłego obozu Gross-Rosen w Rogoźnicy.

Warta honorowa i kwiaty złożone w dniu 21 września 1986 roku podczas uroczystego złożenia ziemi ze wszystkich filii - komand zewnętrznych obozu Gross-Rosen.

W dniu tym jak podczas każdej uroczystości młodzi harcerze Chorągwi Dolnośląskich ZHP składali przyrzeczenie harcerskie.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.4.9.7.

WSPOMNIENIA PIERWSZEJ NOCY W GROSS-ROSEN

Po niemiłosiernym katowaniu nas, biciu skórzanymi batami z drutem wewnątrz i okrutnych przejściach, w ciągu blisko trzech jesiennych miesięcy w 1943 roku w słynnym Radogoszczu pod Łodzią, przejściowym więzieniu w Poznaniu, znaleźliśmy się wreszcie w podziemiach komendy policji we Wrocławiu. Przez dwa tygodnie przebywaliśmy wycieńczeni i wygłodzeni na zimnym i mokrym betonie, jeden obok drugiego, kilkadziesiąt w jednej niewielkiej celi, ciemnej i dusznej, posiadającej jedną słabą żarówkę i małe zakratowane okienko. Tak dzień i noc były jedną wielką makabrą; o jakimkolwiek porozumieniu się w celi nie było mowy. Byliśmy tak stłoczeni, że dojście do tak zwanego kibla, służącego za klozet, który stał w rogu celi, było wyczynem. W ciągu dnia staliśmy lub siedzieliśmy na betonie, jeden między kolanami drugiego, drugi między kolanami trzeciego, aby zaoszczędzić miejsca. Rano dostawaliśmy w obtłuczonych miskach czarną, obrzydliwie gorzką, cuchnącą pomyjami kawę, i po małej kromce suchego czarnego chleba. W godzinach popołudniowych po pół litra "zupki", rzadkiej jak woda, bez śladu kartofli, czy ziarenka kaszy, robiącej wrażenie brudnej cieczy, w której wykręcono ścierkę. To było pożywienie całodzienne. Potem przychodziła noc. Leżeliśmy jeden przy drugim na betonie, a raczej jeden na drugim na jednym boku; o odwróceniu się na drugi bok nie było mowy. Byliśmy ściśnięci jak w prasie. Tragedię w nocy przechodzili ci, którzy musieli dojść do kibla w rogu celi. Potrzebujący, podnosił się wówczas ze swego miejsca i w egipskich ciemnościach, stając po leżących, przy akompaniamencie przekleństw, popychał i kopniąc, docierał jakoś po omacku do niego. Po załatwieniu się musiał pozostać, stojąc przy nim przez resztę nocy, lub najwyżej jakoś obok niego przykucnąć. Powrót na miejsce był wykluczony, ponieważ nie było mowy o trafieniu w ciemnościach na to samo miejsce, którego zresztą już nie było. Natychmiast po uniesieniu się współtowarzysze niedoli rozsuwali się i miejsce było w jednej sekundzie zapełnione, a powrót znów po tułowiach, głowach i nogach leżących, był tą samą torturą, jaką już przechodziło w jedną stronę. Z dwojga złego wybierało się spędzenie reszty nocy przy cuchnącym kiblu, do którego niejednokrotnie i w nocy była kolejka, po psujących puste żołądki wstrętnych lurach. Atmosfera w tych warunkach była nie do zniesienia: okropny zaduch, głód, brud, wyczerpanie, jak również różne inne dolegliwości sprawiały, że było to piekło na ziemi. Marzyliśmy, aby jak najprędzej wywieziono nas z tych nor do obozu koncentracyjnego, gdyż wiedzieliśmy już, że tam nas kierują. Przewidywaliśmy, że gorzej tam już być nie może; pocieszaliśmy się myślą, że będzie tam chociaż dość powietrza. W takich warunkach przeżyliśmy święta Bożego Narodzenia.

Po dwóch tygodniach męczarni w lochach "Polizei Prasilidum in Breslau". przetransportowali nas skutych w kajdany do kon-

centracyjnego obozu w Gross-Rosen i tu przekonaliśmy się dopiero do jakiego piekła nas przywieziono.

Było to w pierwszych dniach stycznia 1944 roku. Nocy tej pannało przenikliwe zimno, wiał ostry wiatr, padał śnieg, który zaraz topniał, tworząc okropne błoto. Do stacji w Gross-Rosen dowieziono nas wagonem więziennym, przyczepionym do jakiegoś pociągu; tam czekały na nas dwa samochody ciężarowe, na które włożono nas bijąc i kopiąc. Po niedługim czasie jazdy, prawie przez cały czas pod górę, odczuliśmy, że auto zwalnia. Wreszcie stanęło. Za chwilę otworzyła się żelazna brama. Przez szpary w plan-dece ujrzeliśmy światła i w tym samym czasie usłyszeliśmy ryk esesmanów.

Byliśmy w obozie Gross-Rosen. Dalsze wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Otworzone klapy obydwu samochodów i esesmani rycząc na całe gardło, bijąc nas grubymi batami ze skóry i kopiąc, usiłowali ustawić nas w jeden szereg. Gdybyśmy wiedzieli o co chodzi tym oprawcom, zrobilibyśmy to samo w ciągu minuty. Ale była to celowa szykana. Jakiś szatański system zastraszania. Bito nas po twarzy rękoma w skórzanych rękawicach, kopano i popychano z taką siłą, że przewracaliśmy się twarzą w błoto i nie mogliśmy się zorientować, czego od nas chcą. Śnieg padał dalej, zimno przeszywało nas na wylot; mogło być około 12-ej w nocy. Wreszcie pobici, zmaltretowani, zabłoceni, stanęliśmy w szeregu po kostki w błocie. Byliśmy tylko w samych garniturach, w których zostaliśmy aresztowani, bez palt, z gołymi ostrzyżonymi głowami. Kiedy nas policzono i potrzymano jeszcze jakiś czas na błocie i śniegu, zepchnięto nas znów z rykiem i biciem w kierunku podłużnego baraku, który przeznaczony był na biuro ewidencji nowo przybyłych więźniów. Wepchnięto nas tam, w dalszym ciągu kopiąc i bijąc, nakazano nam natychmiast rozebrać się do naga. Rzeczy nasze powrzucono do jakichś worków, które rzekomo miały być oddane do depozytu. Potem stojąc nago, każdy więzień został zaewidencjonowany; nawet spisano ile ma złotych koron w jamie ustnej, i w której szczęce, aby szybciej je można było znaleźć i wyjąć po zamordowaniu więźnia.

Następnie przystąpiono do gremialnego golenia nas, ponieważ wyglądaliśmy jak prawdziwi zesłańcy. Golenie odbywało się w ten sposób, że klęczeliśmy, w dalszym ciągu nago w szeregach, a jeden z miejscowych więźniów przechodził z miską napełnioną rozrobionym mydłem, kolejno od jednego klęczącego do drugiego, mydląc jednego nie dłużej jak kilkanaście sekund; za nim postępował drugi, który w takim samym czasie golił jednego po drugim niemikosiernie tępą brzytwą, pozostawiając na każdej twarzy strugi krwi. Po tych bolesnych zabiegach fryzjerskich, wepchnięto nas do następnego baraku, który służył za łaźnię. Wszystkie okna w nim były pootwierane, czy też powyjmowane, nie wiem; zwróciłem tylko uwagę, że śnieg wpadał do wnętrza. Pierwszą czynnością w baraku - łaźni było wepchnięcie każdego z nas pięścią czy butem esesmańskim do wielkiej murowanej kadzi, napełnionej jakimś piekielnie gryzącym płynem, w którym każdy musiał się zanurzyć z głową. Był to podobno jakiś środek dezynfekcyjny. Po wyjściu z kadzi biegliśmy pod prysznic, z którego leciała na zmianę albo woda zimna jak lód, to znów gorąca jak ogień. Jeśli ktoś nie wytrzymał zmiany temperatury i odskoczył od strumienia wody, otrzymywał natychmiast uderzenia batem lub kopnięcie.

Koszmar na noc mijają powoli, a my byliśmy już bliscy obłędu.

Pobici, zgłodniałi, wycieńczeni i wyczerpani pobylem w więzieniu /ja np. miałem już za sobą kilkumiesięczny pobyt w obozie w Radogoszczy i trzy więzienia/, trzymaliśmy się resztkami sił, które już nas całkiem opuszczały. Ale to był dopiero początek piekła. Kiedy byłem dzieckiem, opowiadano mi kiedyś o okrucieństwach piekielnych. To co przeżywałem w tej chwili, nie zrodziło się chyba w żadnej głowie, obdarzonej najśmielszą fantazją. Po makabrycznej łaźni, pobici i poparzeni, otrzymaliśmy drewniane trepy, a następnie wypchnięto nas nagich i mokrych przed barak na śnieg. Ustawieni w czwórki ruszyliśmy przez obóz do bloku. Śnieg z deszczem padał na nasze nagie ciała i spływał po twarzach razem ze łzami.

Mogło być około godziny 2-giej w nocy. Szliśmy na blok, będąc u kresu sił i mając błogą nadzieję, że może wreszcie będziemy mogli gdzieś się położyć; obojętnie gdzie, choćby na betonie, kamieniu czy deskach - byle tylko położyć się. To było niestety tylko marzeniem, gdyż nie wiedzieliśmy kto nas prowadził. Był to blokowy Vogel, Niemiec, najgorszy bandyta, morderca i sadysta, więzień, będący na usługach esesmanów w obozie. Znając jego upodobania w mordowaniu i wykańczaniu ludzi, co robił z sadystyczną rozkoszą, otrzymał od władz obozowych funkcję blokowego, bloku 19-tego. Był to blok karny tzw. S.K. /Straf-Kompanie/, dokąd kierowano więźniów za niesubordynację czy jakieś przewinienie, dokonane na terenie obozu. Tam został przeniesiony i blokowy Vogel. Po maltretowaniu, kopaniu, biciu, wybijaniu zębów, łamaniu żeber, załatwiał w ciągu kilku czy kilkunastu dni wytransportowanie więźnia przez komin krematorium. Niestety chciało, że z powodu przeładowania, na innych blokach nie było miejsca. Jedynie na bloku 19-tym u Vogla było go najwięcej, ponieważ ten morderca dbał o przelotowość u siebie, wysyłając największą ilość ludzi na drugi świat. Kiedy weszliśmy na blok, rozpoczęła się nowa gehenna. Vogel ustawił nas w dwuszeręgach i polecił jednemu z więźniów rozdać nam obozowe, okrągłe czapki z pasiaków. Była to druga część garderoby, jaką dostaliśmy tej nocy. A więc stojąc nago w treпах i z czapkami w rękach słuchaliśmy krótkiego, ale dosadnego wykładu blokowego, naturalnie w języku niemieckim o posłuszeństwie w obozie, karności i wykonywaniu rozkazów. Zaznaczył przy tym, że każda niesubordynacja kosztować może życie. Na dowód nie dał długo czekać. Po tych kilku zdaniach kazał nam włożyć czapki na głowy, a następnie na komendę "zdjąć" uderzyć silnie prawą ręką z czapką o prawe udo; potem znów na komendę "Mutzen auf" /czapki nałożyć/ uderzyć prawą ręką bez czapki o udo. Uderzenie musiało być wykonane niczym jeden strzał; po tym znów "Mutzen ab" /czapki zdjąć/ i znów jeden "Schlag" /uderzenie/.

Spojrzałem na mały zegarek, który stał na taborecie obok legowiska blokowego - wskazywał godzinę trzecią. Koszmarna noc chyba nigdy nie miała się skończyć. Byliśmy już półprzytomni ze zmęczenia, a uderzenie o udo nie wypadało zupełnie równo. Pierwsze kilka ćwiczeń było bezkarne, ale po kilku minutach blokowy Vogel przedstawiał się nam w całej okazałości. Po którejś tam kolejnej komendzie "Mutzen ab" jeden z więźniów o ułamek sekundy opóźnił uderzenie, wówczas Vogel podskoczył do niego z wściekłością w oczach i uderzył go z całej siły w twarz. Więzień potoczył się i stanął wreszcie na swoim miejscu, wówczas dostał jeszcze dwa razy w twarz i pięścią w brzuch. Było to, jak się potem przeko-

naliśmy, ulubione uderzenie Vogla. Za chwilę ćwiczenia odbywały się dalej. I znów ktoś się spóźnił. Historia z biciem powtórzyła się z tą różnicą, że bandyta bił już silniej i z większą wściekłością, kopiąc przy tym w nagie ciała butem z cholewą.

Serce waliło mi jak młotem, ręce drżały od ciągłego uderzenia w udo, w głowie szum. Spojrzałem na zegarek na taborecie; była czwarta. W tym momencie padła komenda - "Mutzen ab": Zerwałem szybko czapkę, która przy zamachu wyleciała mi z ręki i to opóźniło uderzenie dłonią o udo. Vogel podszedł do mnie wolno i z sadystycznym uśmiechem wycedził przez zęby: "Du Lange, du hast noch nich von mich in Maul erhalten" /ty jeszcze ode mnie nie dostałeś w pysk/ i uderzył mnie pięścią w brzuch. Z bólu zgąłem się w pół i w tym samym momencie zostałem uderzony pięścią drugiej ręki od dołu w twarz. Uderzenie było tak silne, że upadłem na wznak na ławkę, która obok stołu stała. Z ławki tej zsunąłem się na podłogę i straciłem przytomność. Nie leżałem długo. Poczujęm straszliwy ból w plecach i ocknąłem się. Nade mną stał Vogel i kopał mnie po nerkach. Ból był tak wielki, że zerwałem się na nogi i choć nie mogłem się zorientować, gdzie jestem i co się ze mną dzieło, stałem wyprostowany, nagi, przed mordercą. Nie bił mnie więcej, ale widziałem zadowolenie w jego drapieżnych oczach. Odsunął się ode mnie, przerwał chwilowe ćwiczenie i wyszedł z bloku na zewnątrz. Staliśmy dalej w dwuszeręgu. Powoli wracała mi świadomość. W tym momencie poczułem w ustach słony smak krwi. Nie wolno nam się było ruszać z miejsc; nie miałem innego wyjścia, musiałem krew połykać. Poruszyłem językiem i stwierdziłem, że jeden z zębów w górnej szczęce jest wybity.

Byliśmy u kresu sił. Vogel zostawił nas i wyszedł, widocznie zaczerpnąć świeżego powietrza.

W tym czasie jeden z więźniów, nie mogąc opanować pragnienia, wyszedł z szeregu, zrobił dwa kroki w kierunku beczki z wodą, jaka stała pod ścianą, wziął do ręki chochlę wiszącą na ścianie, zanurzył ją w wodzie i podniósł do ust. Niestety, nie zdążył się napić ostatniego łyka w swoim życiu. W tym momencie wszedł Vogel, zauważył to i wpadł w szal. Jednym susem znalazł się przy nim, uderzył go pięścią w brzuch i więzień natychmiast zwał się na ziemię. To było za mało dla mordercy. Kopnął powalonego kilkakrotnie i rycząc nakazał mu się podnieść; kiedy ten wstał, został natychmiast uderzony pięścią w szczękę tak silnie, że potoczył się kilka metrów i upadł brzuchem na ławkę, zwisając głową w dół. Blokowy chwycił wtedy szczotkę na kiju od szorowania podłogi i począł z całych sił okładać nią leżącego, już nieprzytomnego, naszego współtowarzysza niedoli. Po kilkunastu uderzeniach rozwścieczonego oprawcy, kij pękł na grzbiecie nieszczęsnego. Morderca bił dalej swoją ofiarę tak długo, dopóki z ust umierającego nie popłynęła struga krwi. Wówczas Vogel odrzucił kij, wskazał na zabitego i rycząc, z pianą na ustach oznajmił nam, że każdy podzieli los zabitego, kto dopuści się takiej, czy innej niesubordynacji. Na polecenie Vogla wynieśliśmy zabitego przed blok, wyszorowaliśmy zakrwawioną podłogę i wtedy otrzymaliśmy nareszcie obozową bieliznę i pasiaki.

W momencie kiedy zaczęliśmy się ubierać, rozległy się gwizdki na terenie obozu, oznajmiające pobudkę.

Pierwsza koszmarna noc dobiegła końca.